



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Namiot arabski.

MIESZKANIA PIERWOTNYCH LUDÓW.

przez HENRYKA WERNICA.

II.

Trwalszego materiału do uswych szalasów używają Eskimosi, budują je albo z kamienia, albo z brył lodowych. Po-

wyżej opisane mieszkania postacą swą przypominają dach, lub tworzą pewne zaokrąglenie, lecz w zachodniej Afryce bardzo się upowszechnił sposób budowania chat w czworokąt. Znajdujemy go w całym pasie ciągnącym się od północy ku południowemu wschodowi, t. j. w strefie, w której rośnie palma, stanowiąca doskonały materiał do tego rodzaju budowli. W okolicach niskich, których grunt z powodu częstych deszczów bywa bardzo wilgotny, krajowcy budują domy na rusztowaniach, tak dla zabezpieczenia się od szkodliwych wyziewów, jak i od dopływu wody.

Prawdopodobnie tę samą postać miały chaty budowane w zamierzchłej przeszłości w Europie.

Wspomnieć wreszcie należy o budowie mieszkań nawodnych, które dowodzą znacznie już wyższego stopnia cywilizacji. Takie budynki dla zabezpieczenia się od nieprzyjaciół, stawiano popolicie na jeziorach, nie tylko w Szwajcaryi, gdzie największe znaleziono ich ślady, lecz i u nas. Pale, których liczne odszukano szczątki, pochodzą z najwzyczajniejszych gatunków drzew, jako to: jodły, sosny, buku, dębu i t. d. Zaostrzano je poczęści przez opalenie, po części za pomocą narzędzi i wbijano w grunt zwirowy jeziora. Niekiedy 20 do 30 tysięcy takich pali stanowiło podstawę, na którą kładziono rusztowanie i stawiano kilkadziesiąt małych budynków. Rusztowanie łączono z brzegiem za pomocą mostu. Czworokątne chaty stawiano z drzewa, pokrywano zewnątrz gliną, a na podłodze

dla powstrzymania wilgoci, układano grubą warstwę gliny i żwiru. Dach stanowiła kora drzewna, słoma i trzcina pokryta zewnątrz mchem.

Takie mieszkania na palach istnieją jeszcze dotychczas na wyspach Sundzkich, na Borneo, a szczególnie na Nowej Gwinei.

Podobną czworokątną postać posiadają chaty budowane na tratwach, pływających po rzekach indostańskich i chińskich. Są one bardzo lekkie, ściany ich splecione z bambusu, a miejsce dachu zastępuje lekko sklepiona mata, aby woda deszczowa łatwiej spływać mogła. Budowle te są podobne do wagonów, używanych na kolei żelaznej. Takie same mieszkania znajdujemy na rzekach chińskich, przy których nadto pracowity Chińczyk zakłada na tratwach ogrody

Nie wiemy, w jakim kraju najprzód poczęto używać kamieni do budowy, to wszakże jest pewne, że już u Pelazgów, starożytnego narodu zamieszkującego dawną Grecyą, stawiano budowle z ogromnych kamieni, które kładziono jedne na drugich bez spojenia wapnem lub cementem.

Do znacznie wyższej epoki cywilizacyjnej należą budowle *egipskie* i *asyryjskie*. Budynki *egipskie* odznaczają się wielkością, mogą pomieścić znaczną liczbę mieszkańców. Mają one postać czworograniastą, z bramą wchodową pomieszczoną w ścianie frontowej. Wierzch budynku pokrywa taras, na którym wznosi się cały szereg lekkich kolumn, unoszących dach, który nadto podpierają cztery kolumny, umieszczone na rogach budowli. Niższą część murów, zwaną cokołem zdobią różnobarwne cegły.

Widzimy ztąd, że Egipcyanie umieli już nadawać cęgłom rozmaite barwy, a umieszczając je w różnych miejscach budynku, nie mało przyczynili się do jego ozdoby.

Drzwi umieszczone w innych ścianach budynku ułatwiają do niego przystęp, a otwory podłużne u górnej jego części pozwalają wchodzić światłu zewnętrznemu. Napisy hieroglificzne na ścianach, oraz sfinksy, leżące u bramy, stanowią resztę ozdób egipskich budynków.

W *asyryjskich* budynkach znajdujemy już czworograniaste wieże nie jednakowej wysokości, połączone ze sobą portykiem, w którym mieści się brama wchodowa. Te budynki, również nie posiadają zewnątrz okien; światło wchodzi do nich przez małe otwory umieszczone wysoko w murze. Gzemsy kwadratowe o kilku wpisanych w siebie czworobokach, stanowią główną ich ozdobę. Pokrywają one wszystkie ściany budynku. Resztę ozdób assyryjskiego budynku stanowi podwójny szereg cegieł różnobarwnie emaljowanych, oraz małe kolumny oddzielające otwory od niższych pięter.

(d. n.)

Młoda poetka rumuńska.

Czasopismo Kraj, podało w ostatnich swych numerach życiorys zmarłej niedawno, ośmastoletniej Julii Hasdeu, Rumunki, odznaczającej się bystrą inteligencyą i wysokim poetycznym uzdolnieniem. Ojciec jej jeden z uczonych literatów rumuńskich, miał z polskiej pochodzić rodziny. Zauważywszy niepospolite zdolności córki (która w trzecim roku umiała już czytać a w ósmym mówiła biegle kilkoma językami) wyprawił ją z matką do Paryża, aby tamże kształciła się w naukach i talentach, którei również była obda-

rzoną. Wkrótce potem młodziczka Julia zdała najświetniejszy egzamin w Sorbonie, następnie zaś uczęszczała na kursa filozofii i literatury. Prócz tego rozwijała znakomite zdolności do rysunku, muzyki i śpiewu. Nauczyła się też doskonale greckiego i łacińskiego języka, chcąc poznać świat starożytny; żeby zaś podobać wszystkiemu, w zimie i w lecie wstawiała zwykle o czwartej rano. Młoda piękna i bogata unikała zabaw świetnego miasta, poświęcając natomiast wszystkie czas swój umysłowej pracy. Poezye, które pisała w piętnastu już latach życia, zarówno myślą głęboką, jak wykwintną formą, zwracały uwagę literackiego świata. Silna i zdrowa na pozor zdawała się rokować długie życie, pomimo to wszakże tkwiły w niej zarody zabójczej piersiowej choroby, która ją za młodu wyrwała zrozpaczonemu rodzicom. Śmiało i prawie z uśmiechem patrzyła w oczy zbliżającej się śmierci silna głęboką wiarą. Marzyła o życiu duszy uwolnionej z więzów ciała jak o szczęściu najwyższem. Chciała tylko umrzeć na ojczystej ziemi i podążyła wraz z matką do Bukaresztu, gdzie zgon jej odbił się bolesnym echem w sercu całego narodu, chlubiącego się dziewczeczką, której niezwykle zdolności znalazły szerokie uznanie w uczonym świecie europejskim. Z błogim uśmiechem i słowem pociechy na ustach żegnała na wieki ukochanych swoich. „Życie, mówiła, to rzeka którą się wpław przebywa, ci którzy najwcześniejsi stają na przeciwnym brzegu są też najszczęśliwsi.”

Zjawiska jej podobne są rzadkością — powiada jeden z jej biografów — ale niema z pewnością kraju, któryby się nie szczycił będąc ojczyzną tej czarującej marzycielki, obdarzonej wszystkimi właściwościami poetki, dowcipnej jak chochlik, dobrej jak wróżka, mądrej jak Minerwa, szlachetnej jak kasztelanka średniowieczna, czystej jak anioł i pięknej jak Psyche.

Na zakończenie podajemy tu w tłumaczeniu jeden z jej utworów, charakterystyczny drobiazg prozą.

PIERWIOSNEK.

Razu jednego anioł unosił się wśród czystego nieba, kołysząc się pośród gwiazd świecących. Na każdej z gwiazd się zatrzymał, zrywając po kwiatku na chybił trafił. I zerwawszy tak po jednym, na każdym ze światów zawieszonych wśród przestworza, spuścił się wreszcie, trzymając swój bukiet niebieski na ziemię i zerwał też tam pewien kwiatek. Poczem wzniósł się napowrót do nieba i zniknął pod kopułą niebieską. Kwiaty ziemskie które widziały anioła promiennego, nie widząc kwiatka wybranego przezeń, pytały się z zdrosne, który to był ów brat ich szczęśliwy, zerwany i uniesiony przez anioła?

— To kwiat róży — mówiły róże.

— To lilia biała, jak on sam, mówiły wspaniałe lilie.

— Nie, to kwiat pomarańczy z zapachem cudownym — zapewniały pomarańcze.

— Powiadam wam, że mógł to być tylko tulipan — wykrzyknął, prestując się rozkoszny tulipan.

Fiołek nawet, tak skromny zazwyczaj, wdychał do zaszczytu posiadania brata w niebiosach i utrzymywał łagodnie, że anioł zabrał ze sobą fiołek.

Jedyny tylko pierwiosnek trzymał się na uboczu milczący.

Inne kwiaty zapomniały o nim.

Ale oto nagle z wysokości niebios upadła lza perlista i zabłysła na złamaną łądę pierwiosnka.

Anioł się nie zjawił, lecz głos niebiański dał się słyszeć wśród wonnego powietrza, podobny do skargi nieskończenie rzewnej.

— Biedny kwiatku — mówił on — kwiatku prawdziwie skromny, ponieważ złamałem ciebie, możesz prosić o nagrodę; mów czego żądasz?

— Niewiele — odpowiedział pierwiosnek.

— Czy chcesz zapachu róży?

— Nie.

— Świetności tulipana?
 — Nie.
 — Szafiru hławatka?
 — Nie.
 — Czego więc życzysz sobie?
 — Ponieważ podoba ci się ofiarować mi dar, Panie, pozwól abym się rodził i kwitł w zimie, pod śniegiem i szronem, i aby mój zapach łagodny, moje zjawienie się błogostawione, ogrzewało ludzi zakrzepłych i skostniałych od wiatru i zimna, aby się oni czuli pocieszeni nadzieją bliższej wiosny i ognistego słońca o promieniach boskich.

Od tego to czasu pierwiosnek zawsze jest pierwszym kwiatkiem, który się do nas uśmiecha po zimie ponurzej, biały jak gdyby nosił jeszcze dotychczas ślady lży świętej.

PSIEJDA

czyli:
 Historya Azora, który,
 Moralne cierpiał tortury.

III.

Wiadomo wszystkim w obec i z osobna
 Że gniew jest bardzo brzydką namiętnością,
 Istota w piękne przymioty ozdobna
 Brzydnie natychmiast gdy splami się złością,
 Staje się sama do się niepodobna
 Dławiąc się gniewem własnym jakby ością;
 A gdy nakoniec wybuchnie szkaradnie,
 Z kretesem rozum jęj w złości przepadnie...

* * *

Długo się dławiąc taką ością właśnie,
 Wybuchnął Azor zobaczywszy kota
 Jak obojętny na domowe waśnie
 Chciał do kielbaski dobrać się niecnota...
 Jako zapalka gdy się ją zadraśnie
 Gniewem pies spłonął i naprzód się miota:
 Prysnęły więzy pod przemocą szału,
 Wrzasł kot... i nogi wyciąga pomału...

* * *

Ledwo puściwszy z paszczęki kark koci
 Azor zawstydzon stanął nad zwłokami,
 Nie zna rumieńca, więc z wstydu się poci,
 Bo cóż ma zrobić, powiedzcie wy sami,
 Biedaczek niema już mamy ni cici
 Które zgryzoty koją pieścotami,
 A wstyd go nęka, że sam nie wypowie
 Iż się tak strasznie dał unieść gniewowi.

* * *

Na duszonego kota krzyk ostatni
 Nadbieżają dzieci i pan sam i pani,
 Słudzy domowi, tajemnicy płatni,
 Wszyscy Azora znani lub kochani,
 A on odurzony wstydem, jak wśród matni
 Stoi wylekły, głos uwiązał mu w krtani...
 Wtem pan chwycił żelazne łańcuchy
 Zawoła głośno jakby pies był głuchy.

* * *

„O ty!... Azorze, któryś dotąd w domu
 Był przyjacielem ukochanym szczerze,
 Co nigdy krzywdy nie czyniąc nikomu
 Wszelki współludział w sprawach domu bierze...
 Jeżeli ty w gniewie mogłeś tak bez sromu
 Postąpić sobie nikczemnie, jak zwierzę...
 Nie mam już w tobie ufności tym razem
 I wiąże ciębie nie w sznur, lecz żelazem!...

* * *

To rzekłszy, zamiast na sznurek jak wprzód,
 W żelazne ujął biedaka okowy,
 Grubym łańcuchem go przykuł do budy
 Jak bywa prosty brytan podwórzowy!...
 O Muzy! Muzy! wspomóżcież me trudy
 By spisać godnie ten dramat domowy:
 Mam li rzec jako po shańbieniu onem...
 Pies się obrócił do świata... ogonem?...

* * *

Tak zrobił!... wzgardę czerpnąwszy w rozpaczy;
 A wtem przed sobą paniątka swe widzi
 Stasia i Zosię... Ale cóż to znaczy
 Że się ta parka coś stracha i wstydy?
 Trudnoż to było zrozumieć inaczej
 Jak, że w Azora wstydzie, własny widzi;
 Na tak okrutne imprezy domowe
 Zbrakło psu siły i... opuścił głowę...

PODZIEMIA BARWAŁDZKIEGO ZAMKU.

powieść z dawnych czasów

PRZEZ **Boguchwałę.**

I.

Jak pan Przekora chciał aby pieczone gołąbki same wpadały do gąbki.

Dużo już czasu upłynęło od tej chwili jak pan Przekora, młody jeszcze, siedział w kilka miesięcy po śmierci ojca, sam jeden w dworku rodzicielskim i wsparłszy o stół łokcie a ręce zatopiwszy w gęstą czuprynę, targał ją i szarpał, namyślając się, co by tu teraz bez rodziców począć na świecie aby jeść, pić, bawić się polowaniem, psami i końmi i nic nie robić więcej?

Pan Przekora na nieszczęście swoje był jedynakiem najzacniejszych, choć nie bogatych rodziców, którym już kilkoro dzieci pomarło, i z tej też przyczyny kochali oni i pieścili nad wszelką miarę pozostałego jedynaczka. Rozpróżniaczony, rozswawolony chłopak podrastając nie chciał się ani uczyć, ani w pracy koło roli ojcu pomagać. Rodzice spostrzegłszy po niewczasie, że zgrzeszyli zbytciem pobłażania, chcieli serdecznie naprawić złe, ale łatwiej jest złe zrobić, niż potem złe naprawić. Tyłomaczyli na różne sposoby, że bez pracy nie można żyć na świecie i że niegodnym jest życia ten, kto pracować nie chce, ale nic to nie pomagało. Lejąc lży krwawe nad nieszczęściem syna, które łatwo można było przewidzieć, pomarli oboje ze zgryzoty. I otóż teraz siedział młody pan Przekora sam jeden w dworku rozmyślając, jak tu dalej żyć, gdy niema ojca aby nakarmił i odział synalka; bo choć rodzice zostawili fortunkę, to przecież trzeba było na nią siać, ażeby zbierać, pracować, ażeby żyć tak jak oni robili, a tego synkowi się nie chciało. Myślał tedy i myślał i nic wymyśleć nie mógł. A wtem drzwi skrzypnęły i wszedł bardzo nędzny i nędznie odziany człowiek i do nog się młodemu panu chylił pokornie, a wzdychał ciężko:

— A co tam? — mruknął pan niechętnie. — Czego to?

— To ja, Kuba, dawny parobek ojca pańskiego — odzwał się przybyły — dobrze mi było dopóki na roli pracowałem, ale ożeniłem się, zachciało mi się większego zarobku, poszedłem do Krakowa i u mularzy przy tych wielkich kamienicach co to się tam budują, pracowałem. Ale przyszła choroba a z nią nędza, żona i czterech małych synków leżą teraz w ciężkiej biedzie chorzy, a ja nie mam czym ich ratować bom sam był chory i do żadnej roboty przyjąć mię nie chcą ludzie, gdyż do niczego siły nie mam. Zlituj się nademną paniczku daj mi jaką zapomogę tak jak twoi rodzice nieraz dawali swoim parobkom, którzy w nieszczęście popadli! Jak mię nie poratujesz zginę!

Tak błagał biedny wyrobnik, i nie byłby błagał napróżno, gdyż młody Przekora mimo wszystkich wad nie miał złego serca, ależ, żeby kogoś poratować trzeba przedewszystkiem mieć czem go ratować, a tu Przekora nie miał nic i przeto zły był na cały świat, nie chcąc wierzyć, że sam tylko winien był swojej biedzie. Owszem, nawet go bardzo zabolalo serce nad nędzą Kuby, którego znał dobrze. Bólem serca nie mógł jednak dopomódz nieszczęśliwemu, dla tego też zawołał chcąc się go pozbyć, aby nań nie patrzeć:

— Idź sobie do bogatych po żebranie; ja sam nic nie mam, cóż ci mogę dać!

Po chwili jeszcze bardziej mu się przykro zrobiło, gdy spostrzegł, że Kuba wyszedł nie dodawszy ani słowa więcej. Żał się zrobiło Przekorze czterech maleńkich synków Kuby i rzekł sam do siebie, kiwając głową żałośnie:

— Ot, gdyby ten biedak był szlachcicem i miał nie czterech, lecz dwunastu synów, toby mu wedle zwyczaju zaraz król dał starostwo, aby miał z czego dziatwę wyżywić.. — i tak niespodzianie wpadłszy na tę myśl dziwną, zerwał się od stołu pan Przekora, uderzył w czoło i zawołał:

— Otóż mam!... wiem co zrobię! Ożenię się, a kto wie

nał cicho, głaszcząc go dla uspokojenia, i wpatrując się w coś dziwnego co działo się o kilka kroków przed nim. Było to właśnie na tak zwanych „rozstajnych drogach” w miejscu gdzie kilka dróg krzyżuje się z sobą. Księżyc wychyliwszy się chwilowo z za chmur ponurych, oblewał bladym światłem dziką i pustą tę miejscowość wśród spalonego lasu. W takich to miejscach, na takich rozstajnych drogach, zwłaszcza jeżeli pobożna ręka nie postawiła na nich krzyża, przesąd ludowy każe panować „złej sile” i „wywoływać” ducha ciemności, utrzymując że można go przyzwać na pomoc, jeżeli ktoś pragnie pieniędzy. W owe czasy przesąd taki panował wszechwładnie, acz i do tego trafiały się wyjątki. Takim wyjątkiem nie wierzącym w przesady był podróżny jeździec, i dla tego też popatrzywszy chwilę stojąc nieruchomy, w cieniu drzew, zrozumiał od razu co działo się przed nim. Na rozstajnych drogach stał człowiek obdarty a taki nędzny i blady przy księżycowym świetle że litość aż brała patrzeć na niego. Był to Kuba. Łzy błyszczące w świetle księżycy toczyły mu się po wyschłej z choroby i niedostatku twarzy, a on wyciągając obie ręce w głąbię czarnej nocy, wołał drgającym z rozpaczy głosem, strasznym jak nieszczęście:

— Dzieci mi z głodu i choroby umierają, pracować



Pies się obrócił do świata ogonem.

Zbrakło mu siły i opuszczył głowę.

może będę miał dwunastu synów, i król da mi wtedy starostwo, a jak nie, to i tak żonka będzie gospodarować na roli a ja sobie będę żył jak pan, nic nie robiąc. Otóż wymyśliłem; tak będzie najlepiej, tylko, przedewszystkiem trzeba się o rządą, pracowitą żonkę postarać taką jak była moja matka.

Tak postanowiwszy pan Przekora natychmiast siadł na koń i udał się do poważnego sąsiada prosząc, aby go swatał z jaką panią, na co życzliwy sąsiad chętnie przystał, sądząc, że ożeniwszy się młody Przekora zamyśla jąć się pracy, spostrzegłszy, że bez niej żyć nie można. Zajęty swemi zamierzeniami młody próżniak zapomniał ze wszystkiem o nieszczęśliwym Kubie, tak dalece że wracając od sąsiada o mało nie potracił tegoż Kuby w ciemności stojącego przy drodze, bezsilnie wspartego o drzewo i wpatzonego w chatę, w której żył niegdyś szczęśliwy, zwracając się w każdej niedoli do zacnych państwa po opiekę, radę i pomoc. Dalej jadąc zamyślony Przekora, już niżej w lesie, a więc w jeszcze większej ciemności, zwarł się koniem o jakiegoś innego jeźdźcę jadącego z przeciwniej strony i prawdopodobnie także zamyślonego. Konie oba stanęły dęba z przestachu, jeźdźcy poskromili je z trudnością, rzucając sobie wzajem gniewne wyrazy i minęli się wreszcie, jadąc każdy dalej w swoją stronę. Przekora wrócił do swego dworku, a nieznajomy podróżny jadąc dalej wkrótce znowu popadł w zamyślenie i to tak głębokie, że nieświadomie sam przemawiał niekiedy do siebie, mrużąc kłopotliwie jedno i też same wyrazy.

— Kogo ja tu zostawię?... komu tu zaufać?... — Wtem koń niedawno zestraszony zachnął się znowu, jeździec powściągnął go i powstrzymał, a rzuciwszy okiem naokół sta-

nie mam siły, ludzie nie chcą ratować... ducha ciemności, siło nieczysta przybywaj na mój ratunek, przybywaj, przybywaj, przybywaj!... — Okropny huk rozległ się w tej chwili i nieszczęśliwy człowiek, padł jak długi twarzą na ziemię. Był on obłąkany rozpaczą, inaczej nie byłby wzywał złego ducha, lecz porucił się raczej opiece Boga, który nigdy nie opuszcza tych co mu zaufali całym sercem, przeląkł się też huku, który mu się wydał głosem piorunu, a był tylko wystrzałem z rusznicy, niezbyt jeszcze podówczas używanej, z której nieznajomy jeździec wypalił w górę słysząc zakłęcie Kuby.

Powziął on widać w jednej chwili jakiś zamiar, bo zeskoczył żywo z konia, cugle zarzucił na pobliską gałąź a sam bez namysłu podniósłszy w górę poły swego płaszczka okręcił sobie nim głowę i ramiona tak, że mu wcale twarzy widać nie było, a że był wysoki więc w nocnych ciemnościach stał się podobnym do olbrzyma z potwornie wielką głową; przystąpił do leżącego bez ruchu Kuby i zawołał ogromnym głosem:

— Oto jestem!... czego żądasz człowieku?

— Pieniądzy!... — krzyknął Kuba i jak ze strachu upadł, tak zerwał się teraz ze strachu na ten głos okropny i odskoczył ujrawszy straszną, stojącą przed nim postać. Byłby uciekł sam nie wiedząc co czyni, gdyby mniemany duch nie krzyknął znowu:

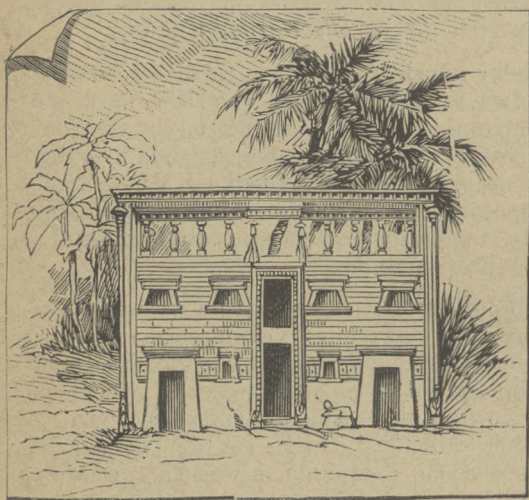
— Stój!...

Więc stanął Kuba jakby wrósł w ziemię, choć trząsał się i nogi ugiwały się pod nim.

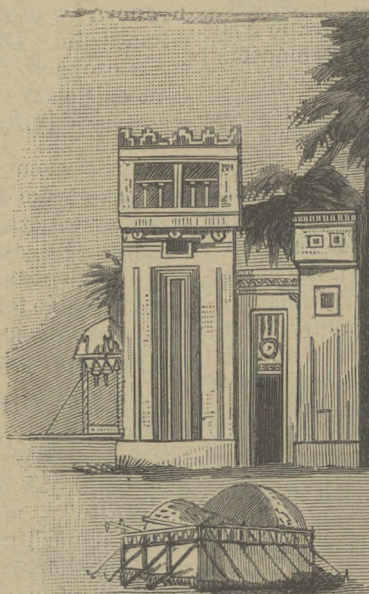
— Pieniądzy!... mamony!... — jęknął duch — wy tylko



Mieszkania nawodne.



Budowla egipska.



Budowla asyryjska.



Mieszkania Eskimosów.

tyle żądać umiecie, a prawdziwe szczęście któż uszanować umie? Nadstaw czapkę!

Kuba nadstawił, a duch nappełnił ją pieniędzmi sypiąc je z trzosa:

— Połóż czapkę na ziemi! — rzekł potem. Kuba położył a duch uderzywszy nogą w gromadę zeschniętych liści opodal leżących, nakrył niemi czapkę.

— Chodź ze mną — rzekł. — jeżeli przystaniesz na moje warunki to wrócisz tu i czapkę zabierzesz i dzieci twe uratowane będą.

Poszedł naprzód a Kuba za nim trzęsąc się cały, ale pełen posłuszeństwa, bo widok pieniędzy jakich w tak wiel-

kiej ilości nigdy w życiu nie widział, do reszty mu rozum zamęcił, a przytem wiedział przecież idąc tutaj, że bez warunków się nie obejdzie, szedł więc po te warunki. Szli bardzo niedługo, ledwo kilkanaście kroków i weszli do nawpół zburzonej chaty.

Duch zaśwycił wtedy kaganek i rzekł:

— Tu w tej chacie zamieszkas z twoimi i nie będziesz z niej wychodził po za otaczające ją topieliska, dopóki nie przyjdzie do ciebie mój syn, syn szatana i powie ci abyś mu oddał moje pieniądze; natenczas spytasz go gdzie są te pieniądze? A on odpowie tobie:

„Nie tam gdzie się palą, tylko tam gdzie się na nie

ludzie żalą". Rozumiesz? po tem go poznasz. Czy rozumiesz? Czy przystajesz na te warunki?

— Rozumiem... przystaje... — jęknął Kuba. Duch ciemności szybko położył na stole koło kaganka kawałek pergaminu, schwycił lewą rękę Kuby zakłuł lekko ostrym sztyletem serdeczny palec i umoczywszy piórko w ukazującej się kropli krwi, podał je Kubie:

— Podpisz cyrograf, że mi duszę oddajesz w razie gdybyś warunków nie dotrzymał! — rzekł wskazując miejsce na wpół zapisanym pergaminie, gdzie należało podpisać. Kuba oczywiście pisać ani czytać nie umiał, instynktowo zatem zabierał się położyć krzyżyk w miejsce podpisu, jak to zwykle w takich razach niepiśmienni ludzie robią, ale duch zgadzając jego zamiary, zawołał:

— Nie tak! nie taki zwyczajny pisz ten wasz znak, bo wiesz że mię to parzy, napisz go naodwrot...— Pomimo całego przerażenia Kuba zrozumiał i z trudem, bo drżącą jak w febrze ręką nakreślił krzyżyk „na odwrot” to jest podstawą w górę. Duch schował cyrograf.

— A teraz chodź — rzekł — pokażę ci gdzie jest to czego masz pilnować.

(d. c. n.)

List z Paryża.

Kochani koledzy! Nie miałem już zamiaru pisać do was z Paryża, raz dlatego, że sam jestem obecnie zajęty w innym kierunku, powtóre, wszyscy naokoło piszą i drukują o wystawie, łatwo więc możecie mieć zdolniejsze od moich opisy. Tymczasem zobaczyłem w ogrodzie Tuilleryjskim coś o czem muszę wam opowiedzieć, dla własnej przyjemności, bo bardzo mi się to podobało, a nie mam tu z kim gawędzić. Oto wyobraźcie sobie kawał historii wykrojony niby z księgi i postawiony wam przed oczy, w odbiciu uplastycznionem ze zwierciadlaną dokładnością. Taki pomysł wykonali dwaj malarze Gervez i Stewens. Jest to właściwie niby ogromna panorama, obejmująca przeszło tysiąc postaci dziejowych, portretowanych sumiennie, po największej części dotyczących oczywiście dziejów francuzkich, bo Francuzi swego tylko mają zwyczaj pilnować i to też robić umieją dobrze. Ta uplastyczniona historia rozpoczyna się około pamiętnej daty 1789 roku, w chwili gdy starożytny majestat królewski, poczynął we Francji chwiać się na wzburzonych falach rewolucyjnych. Pierwszą grupę stanowią ministrowie, mężowie stanu kierujący wówczas losami Francji, upudrowani, wystrojeni z całym charakterystycznym wykwintem owoczesnym a podobni tak, że panowie patrzący wraz z nami, nazywali ich głośno poznając jedynie z autentycznych dawniej widzianych portretów. Z pomiędzy tych mężów wychodzi Mirabeau, słynny mówca ówczesny i kieruje się ku tronowi...

Ten tron stanowi drugą grupę, niby drugą kartę historii. Siedzą na nim Ludwik XVI król francuzki i królowa Marya Antonina, z trojgiem dzieci u boku, otoczeni całym dworem. Nie mówiąc już o doskonałym podobieństwie twarzy, nie tylko królewskich lecz i wszystkich głównych dworzan, sam przepych strojów drobiazgowo skopiowanych, z rzeczywistych danych epoki jest już zajmującym, cóż dopiero gdy mimowoli stają patrzącemu przed oczyma znane nieszczęsne losy tych wszystkich strojnych ludzi, zaczawszy od małego królewicza, tej niewinnej ofiary oddanej następnie pod szewcki pociąg... na wychowanie. Wiemy dawno o tem wszystkim, a jednak serce zaczyna bić zdwojonem tempem gdy patrzysz na to. I trudno nie zadrzeć znowu na widok przewodniczących gromadzie innych, w dalszym ciągu obrazu strasznych ludzi takich jak Robespierre, Danton, Marat, królobójcy, przywódcy rewolucyjni. Siedząca w pobliżu

sławna Karolina Corday, młoda panienka szlacheckiego rodu, ze sztyletem którym ugodziła królobójcę Marat'a, ma być najdoskonalej sportretowana, a jeżeli tak jest, to niema się co dziwić, że wedle historii — piękność jej i szlachetność czyniła głębokie wrażenia na samychże sędziach, dziwniejszem jest raczej że mimo to straconą została. Dalej w owiej panoramie historycznej, ukazuje się dziad dzisiejszego prezydenta Carnot, organizator armii owczesnej w otoczeniu wodzów, którzy odparli natenczas od granic francuzkich całą potęgę sprzymierzonej Europy. Dalej znowu zjawia się uosabiając, tak zwany dyrektoryat, owczesną formę rządu, Barras, członek dyrektoryatu w otoczeniu towarzyszy i osób wybitniejszych w danej chwili; między innymi jest tam sławna pani de Staël, słynna autorka, oraz piękna i cnotliwa pani Recamier, żona bankiera słynna także lecz głównie z tego, że sama nie pisząc, wywierała znakomity wpływ na całą literaturę, gdy dom jej był ogniskiem inteligencji owczesnej. Następnie na obrazie pędzi cesarz Napoleon na siwym rumańku, otoczony swymi wslawionymi generałami, a na ganku królewskiego pałacu stoi cesarzowa Józefina w płaszczu purpurowym i koronie, naokoło wszystkie księżniczki cesarskiej napoleońskiej rodziny. Aż tu nagle zjawia się znowu na tronie Ludwik XVIII i białe chorągwie zamiast trójkolorowych; potem król Ludwik Filip, królowa Amelia, pięciu ich synów i trzy córki, a w pobliżu grupa poetów i pisarzy danej chwili, to jest romantyków, tak zwanych po przejściu epoki klasyków. Dalej widać krużganek pałacowy a z niego Lamartine sławny poeta, historyk i mąż stanu, przemawia do tłumów wzburzonego znowu ludu. A oto następnie na tarasie siedzi świetna cesarzowa Eugenia z dyademem na przepysznych złotych włosach, przy niej Napoleon III w otoczeniu przedstawicieli swych rządów i mały synek bawi się przy tronie. Jakby naumyślnie, a może i naumyślnie w istocie, po tym obrazie szczególnie błyskotliwym i świetniejącym barw słonecznych dobozem, pojawia się straszliwe przeciwieństwo: Francya w osobie Thiersa okupuje się okropnym haraczem od najazdu. Dalej różne czasowe rządy Francji, uosobione są w osobach Mac Mahon'a, Grevego, aż nareszcie prezydent dzisiejszy Carnot na polu Marsowem otwiera obecną wystawę paryzką, w obec niezliczonych tłumów ludu.

Nie wiem jak wy koledzy, będziecie uważać to wszystko, ręczę tylko za dwie rzeczy: I-mo że wszystkie nasze siostry nie wyłączając Gołąbki, jeżeli nie zachwyciłyby się, to co najmniej długoby rozkoszowały się dwoma epizodami z tego dziejowego obrazu, najpierw rodziną Ludwika XVI i Napoleona... 2-do że ten sposób przedstawiania historii, jest wogóle porywająco żywotny i mówiący, oczywiście dla tych, którzy już ją znają, jak my przynajmniej.

Tegoż samego dnia byłem jeszcze raz na wystawie i widziałem wystawę broni, w pawilonie wyglądającym z pozoru tak skromnie wykwiłtnie. smukło, niewinnie, biało, ale to cudnie biało, jak najmilsza z naszych siostrzyczek, a tymczasem „o gwałtu”... jak mówi mój wiejski towarzysz od wypatrywania gniazd ptasich, Maciuś... cóż to się tam nie skrywa pod tym ślicznym pozorem... Najprzód u wejścia, armata!... ale taka okropnie olbrzymia, że zgroza przechodzi na myśl o zniszczeniu jakie wystrzał z takiej potwornej czeluści spowodować musi, a potem, doprawdy wstyd zdejmuję na myśl, że ludzie uczeni przesadzają, się w wydoskonalaniu takich cudactw śmiercioziejnych. Trzeba wiedzieć, że doskonałość pod tym względem doszła do tak wysokiego stopnia, iż można za-wczasu założyć się jako ta a ta armata, w razie wystrzału zerwie cię na dwie połowy, w takiej a takiej odległości. Są tu działa niosące na 15,000 metrów... i są kartaczownice dające 600 strzałów na minutę, wyraźnie sześćset!... Koledzy do was się odwołuję. cóż tu mówić o dawnem rycerstwie, o osobistej waleczności, w obec tego?...

Wasz Julek.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— Trudno „mon ami” — odpowiada z uśmiechem pan Antoni — musimy się stosować do okoliczności, gdy one nie chcą wyświadczyć nam tej przysługi.

— A dla czegoż nie płyniemy dalej? Cóż to będzie?

— Robi się zawsze tylko to co można! — odpowiada mi na to jeden z naszych wioślarzy, ogromny Malajczyk, przykładając wskazujący palec do własnego nosa i nachylając się ku mnie zupełnie tak, jak ty Wańdziu gdy karcisz swojego kanarka, a potem nagle wykręca się plecami do mnie ujawniwszy mię jednocześnie za ręce i już kroczy przez wodę, trzymając mię na barkach w taki sposób, jak to wieśniacze dzieci dźwigają się wzajem niekiedy, nazywając to „wziąć na barana”. Krew uderzyła mi do głowy, gdybym miał ręce wolne, byłbym chyba uderzył krotochwilnego Malajczyka, aż w tem spojrzawszy w bok, widzę że i pana Antoniego i tamtego pana, noszą tak samo ogromni majtkowie... dopiero ochłonąłem z gniewu cokolwiek; przeszedłszy pomiędzy mnóstwem kawałków pływającego pumeksu, postawiono mię na suchym gruncie. Ale jakkolwiek suchy był i bezpieczny, jeszcze trzeba było ostrożnie stąpać pomiędzy mnóstwem szczątków dawniej przystani, zburzonej przez morze, które je teraz potrząskane zwracało, wyrzucając na brzegi. Pumeks także w mniejszych i większych kawałkach zasiał całą przestrzeń; nie potrzebuję ci przecież objaśniać, że to jest masa mineralna mocno pęcherzowata i przeto mogąca pływać po wodzie, a którą wydziela z siebie lava płynna; masa ta jest używana do polerowania kości słoniowej, drzewa, marmuru, szkła; wszyscy znamy ją ze szkolnych lekcji mineralogii, tutaj zaś wybrukowano pumeksem jak zwykłym kamieniem całą drożynę, uporządkowaną na nowo po minionej powodzi. Droga tą poszliśmy do stóp skały, na której szczycie stoi latarnia wznosząca się z pośrodku obszernej płaszczyzny, wyłożonej gładkimi płytami. Wdarłszy się tam po 161 stopniach, panowie wdali się w gawędę ze strażnikiem, podziwiając jednocześnie z tej wyżyny widok, jakiemu trudno równego na świecie. Był tak cudny i rozległy, że naszkicowałem go sobie natychmiast w konturach i te przynajmniej posyłam ci w liście. Tuż u stóp skały leży splątany, zdruzgotany a rozległy szkielet przepysznego lasu zniweczonego powodzią, uschłe już, powywracane korzeniami w górę olbrzymy leśne, może dla tego tylko pozostały tam gdzie padły, że zbita gęstwina pasożytów i lianów jednoznacznie z sobą, stawiało opór, nawet owę przepotę sile fali rozszalałej; wszystko zeschłe i żółkłe leży przysypane pumeksem i popiołem, gdzieniegdzie tylko świeża latorośl wystrzela już na nowo w górę, przedzierając się przez martwe zwłoki lasu, jakby w dowód potęgi żywotnej tutejszego gruntu. Z przeciwniej strony oko gubi się w przeslicznej panoramie Żundzkiej cieśniny zasianej wyspami, i oceanu Indyjskiego bez granic.

— Ten biały punkt matowy na błyszczącej barwami powierzchni, tam na północ, to Krakatoa nieszczęsna, za której sprawą nic tutaj jak okiem zajrzeć nie pozostało tem, czem było niedawno — westchnął strażnik.

— A ta latarnia? słyszeliśmy że przed trzema laty zburzyło ją trzęsienie ziemi, a teraz?

— Tym razem ona jedna może uszła bezkarnie, ta ogromna wyżyna skalista stanowiąca jej podstawę ocalała ją, i nas przy niej.

— A więc byłeś pan na stanowisku? Jakiż straszny musiałeś mieć widok, gdy rozszalała fala powstała z morza jak żywa a straszna potęga i rzucała się na wszystko co spotkała po drodze, niszcząc?..

Strażnik latarni potargał się za włosy z gestem wielce podobnym do tego, jaki czyni nasz chłop mazowiecki gdy jest

w kłopotcie: najoczywiściej spostrzegł chciwą wiedzy ciekawość, z jaką wypytywał go pan Antoni:

— Przyznam się panu, że nie widziałem tego wcale — mruknął spuszczać oczy jakby zawstydzony.

— Co?... znajdując się tutaj, w takim wyjątkowym punkcie do spostrzeżeń, pan nie widział nic?... Czyliż przespałeś pan owe dni wiekopomnej katastrofy? — zapytał pan Antoni takim wolnym i przyciszonym tonem, patrząc przytem bystro w oczy strażnika, że odrazu poczułem iż mój uczyony towarzysz wre wewnątrz od powstrzymywanego oburzenia, on który po części dla rozmówienia się z tym strażnikiem przedsięwziął tę wycieczkę, gdyż strażnik ten jeżeli tylko znajdował się podówczas na swęj wyżynie, mógł być jedynym nieocenionym dla historii świadkiem, całkowitej katastrofy w pełnym przebiegu. Biedak musiał odgadnąć zarówno jak ja, źle skrywane oburzenie pana Antoniego, bo nagle podnosząc wzrok na niego i chwytając się oburącz za głowę:

— O sir!... — zawołał rozpaczliwie — gdybyś pan widział ilu już takich jak pan, wypytywało mię tak samo i oburzało się tak samo, żem nic nie widział, to uwierzyłbyś pan może, iż mię mało licha nie bierze ze złości żem nie widział! Ale coż ja temu winien?... Przywykłem patrzeć obojętnie na tę odległą, bezludną, jednym potężnym lasem zarosłą Krakatoa, jako na wygasły od niepamiętnych czasów, od dwóch wieków bodaj, wulkan. Gdy około 20 Maja usłyszałem strzały armatnie w odległości, zdziwiłem się, ale ani mi też przez myśl nie przeszła Krakatoa, dopiero przybywający od północy parowiec zawiadomił mię, że Perbuwatan pagórek na Krakatoa ledwo 120 metrów wysoki, dymi się i zieje ogniem, z hukiem jakby z armat strzelał. Gdy moi goście odpłynęli nie wiedziałem znowu nic z tego co działo się na świecie, a słysząc ciągle owe odległe niby strzały armatnie, przez trzy blisko miesiące, przywykłem do nich. Proszę pana, czy pan sądzi, że utrzymanie w porządku takiej olbrzymiej latarni, a nawet przytem wejście samo i zejście z tej wysokości, to nie pochłania uwagi i czasu człowieka?... Wtem, 26 Sierpnia 1883 roku powstaje burza i piorun raz po raz uderza w te oto zabudowania latarniowej wieży; pewny byłem że w samą latarnię na szczycie, albo w moją własną głowę. Gdy ucichło o tyle że moim wyjść i chodzić po tych płytach kamiennych, z jakim takim prawdopodobieństwem że wicher nie zrzuci mię w morze ze szczytu skały, udałem się do więźniów...

— A więc macie tu więzienie?

— Tak panie, podówczas miałem tu dziesięciu przestępców, z tych zaś czterej mieli żelazne obrączki na szyjach.

— O!.. to tu jeszcze przystrajacie ludzi w takie klejnoty?

— Hm, proszę pana, coż robić jak inaczej nie można, a i tak jeszcze jak mają się wymknąć, to się wymkną i człowiek ma kłopot z władzą jak wtedy właśnie, a potem uczeni panowie dziwią mu się a dziwią, że zajęty swoim kłopotem nie miał czasu ani głowy na obserwacje...

— Jakto? wymknęli się więc?..

— Gorzej jeszcze!.. Wchodzę ja z posługaczami niosącymi żywność, aż jeden więzień leży jak długi przysmalony od głowy do stóp... wchodzę do drugiego, leży tak samo... i tak wszyscy czterej, a tamtym sześciu nic!.. Ha... czyliż panowie uczeni, śledzący przebieg katastrofy wulkanicznej, domyślać się mogą jaki był przebieg mojej własnej sprawy z władzą, z przyczyny katastrofy z więźniami?... A przecież nie z mego rozkazu mieli oni na szyjach żelazne obrączki!..

— A!... pioruny więc pozabijały tych ludzi!..

— Tak panie! z przyczyny żelaznych obrączek. Zajęty zdawaniem raportu władzy i zwłokami owych ludzi, ledwo że zauważyłem iż huk armatni, czy też piorunni, całe salwy grzmotowe trwały ciągle w okropny, ogłuszający sposób, pomimo że burza przeszła. Dopiero gdy spostrzegłem, że minęła, przyszło mi na myśl, że powodem tego huk oprócz rzeczywistej burzy, była Krakatoa, wzmagająca swoje puka-

nie. W nocy z 26 na 27 trzask był nieustający i taki okropny, że choć zmęczeni, nikt tu u nas oka nie zmrugał..

— Nikt w całej zachodniej stronie Jawy nie spał tej nocy.

— No... a rano 27 ledwo się rozwidniło stał się taki okropny huk, potężniejszy niż wszystkie dotychczasowe, jakby odrazu wszystkie działa najcięższego kalibru jakie kiedykolwiek były, są i będą na świecie wypaliły razem... musiał mi się chwilowo chyba mózg otrząsnąć, bo pewny byłem że ja, skała i latarnia, wszystko zapadło się kędyś na dno przepaści piekielnej. Kiedy po chwili spostrzegłem że żyję jeszcze, zaczynało się już ściemniać gwałtownie i cicho było i ciemno przez cały dzień 27, tylko błoto i kamienie spadały jak deszcz. Dopiero 28 rano gdy się rozwidniło, zobaczyłem że niema ani dużego lasu u stóp tej skały, ani wsi i miast na wybrzeżach jak okiem zajrzeć, ani zielonej gęstwiny na okolicznych wysepkach, a wszystko zmieniło kształty i do siebie samego nie było podobne, jeżeli nie znikło zupełnie, tak jak wyspy niektóre... I jakże ja mogłem widzieć co więcej proszę pana?

— Zapewne... jeżeli chmury popiołów zakryły okolice tak, że było głucho i ciemno, to trudno było widzieć co dzieje się w Zundzkiej cieśninie, o której tymczasem nam w Europie donoszono, że została tym wybuchem zburzoną do gruntu — rzekł pan Antoni daleko spokojniejszym już tonem. — Przepraszam pana uprzejmie, za niewłaściwe może zdziwienie moje, wiadomością żeś *nic* nie widział; ale chciéj pan uwzględnić że ja porzuciłem ulubione i *w dodatku* dające mi chleb obowiązki w Europie, w tym między innymi, bodaj czy nie głównym zamiarze, aby dowiedzieć się od strażnika tutejszej latarni o całym przebiegu katastrofy z r. 1883... i teraz niczego się nie dowiaduję!... Czy pan bierziesz na uwagę, że mógłbyś być dla potomnych wieków jak raz *tem*, jeżeli nie *czem więcej*, jak był i jest Pliniusz młodszy odnośnie do Pompei?... jako jedyny świadek katastrofy?

Pan Antoni wymawiał powyższe, zwłaszcza ostatnie wyrazy z zapalem napróżno wstrzymywanym. Strażnik Holender pokiwał głową...

— Zdaje mi się, że choć częściowo, rozumiem te rzeczy — powiada. — Ale cóż na to poradzić?... Że zaś nie kłamię...

— O... któż pana znowu o to posądza! Co najwięcej mogłem myśleć, żeś chwilowo tu nie był obecny... — zawołał żywo niezmiernie pan Antoni, zrywając się z miejsca i podając mu rękę. Holender stary spojrział mu najprzód w oczy, potem znów głową pokiwał, przyjmując jednak uścisk serdecznie.

— I... — rzecze — młodość rozmaicie sądzi. To jednak mogę zaręczyć, zebrawszy wiadomości od wiarogodnych moich znajomych, że podczas tego nieszczęścia *dziesięć* okrętów, przypadkiem niezmiernie zwykłym w tych ruchliwych okolicach, znajdowały się w pobliżu Zundzkiej cieśniny. Wszyscy kapitanowie stwierdzali własne osobiste spostrzeżenia i ztąd wynikło, że najwyższy słup dymu, wybuchający z wyspy Krakatoa, jaki przez nich mógł być dostrzeżony z daleka, dochodził do wysokości 27,000 metrów. W trzy godziny później sprawdzono znowu wysokość straszliwej tej

roboty, znaleziono że słup ten, z popiołów tworzących chmurę w górze, wynosił do 33,500 metrów wysokości... Oto wszystko co sumiennie w tym przedmiocie powiedzieć mogą. Zresztą, co działo się wówczas na samej Krakatoa i sąsiednich wysepkach, tego nikt nie wie, bo nawet na wyspie Sebesi zamieszkałej przez 3,000 ludzi, przepadli tak wszyscy *co do jednego*, że także niema i nie może być ztamtąd ani słowa wiadomości.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(od Niebieskiej Wstążeczki dla Dębinki).

Z następujących zgłosek: a—ba—bel—deb—~~ewa~~—klon—krach—ka—ma—man—mund—raj—rak—zon — ułożyć siedm wyrazów: 1. Napój. 2. Drzewo naszych lasów. 3. Rzeka w Ameryce. 4. Imię męskie. 5. Cieśnina między Azją i Afryką i Afryką i Afryką. 6. Imię żeńskie. 7. Upadek majątkowy. Początkowe litery odczytane od góry do dołu utworzą nazwisko sławnego męża znanego z pogardy bogactw, końcowe zaś w przeciwnym kierunku jego przydomek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Logogryfu:

P o t o p
K O r a n
P o T o k
S o l O n
H a r a P

Zagadki:

Korona — Koronka.

Zamiast rs. 1 kop. 50 tylko kop. 75, z przesyłką zaś pocztową rs. 1, wyjątkowo dla **prenumeratorów Wieczorów Rodziny** ustępuje się podręcznik p. t.

METODA NAUKI RYSUNKÓW

przez T. Flinzera.

Z 44-a rysunkami w tekście i 21-a litografowanymi tablicami. Pragnący nabyć podręcznik Flinzera raczą się zgłosić wprost do

Redakcyi *Wieczorów Rodziny*

w Warszawie MAZOWIECKA N-r 10.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TRESC: Mieszkania pierwotnych ludów, p. Henryka Wernica, (z drzew.) — Młoda poetka rumuńska — Psiejda, wiersz (z drzew.) — Podziemia zamku barwałdzkiego p. Boguchwała. — List Julka z Paryża. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Uczynna sroka p. Ciocię Janię (z drzew.) — Paw i chłopczyk wiersz. — Henrys na polowaniu. — Na wakacjach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

UCZYNNA SROKA.

W dużym lesie, gdzie pełno było stworzeń wszelkiego rodzaju, i czworonożnych, i skrzydlatych, dwoje małych ptasząt uwiło sobie gniazdko na gałęzi drzewa. Była to bardzo zgodna i pocziwa parka. Samiczka złożyła w gniazdeczku kilka ślicznych, nakrapianych jajek, zasiadła na nich i troskliwie piersią swą wygrze-

o tem, żeby miała dobre i obfite jedzenie, i nie potrzebowała odlatywać od jajek. Po śniadaniu oboje zaczęli świegotać wesoło, rozmawiali o tych pisklątkach swoich, co już niezadługo przebiją skorupki jajek i wydobędą się na świat Boży. Układali sobie naprzód, jak to oni będą te ukochane dzieciętki pielęgnować, przysmaczkami karmić, a potem uczyć ładnie świegotać i latać o własnych skrzydełkach. Pocziwi rodzice ciągle teraz to jedno tylko mieli na myśli.



Uczynna sroka.

wała. A samczyk cieszył się niezmiernie temi jajkami swojej żonczki, pierwszy to raz miał być ojczulkiem małych pisklątek, bo i sam niedawno, przeszłego roku dopiero, wyleciał z gniazda swojej mateczki. Ale spełniał powinność gospodarza i ojca rodziny tak dobrze, jakgdyby był starym i doświadczonym ptakiem, bo Opatrzność daje zwierzętom instynkt, który im rozum zastępuje.

Pewnego rana ptaszyna mateczka siedziała spokojnie na jajkach, męzulek jęj przyniósł parę wybornych liszek i żuczków na śniadanie, pamiętał on teraz zawsze

A wtem mateczka ptaszyna wydała okrzyk przerażenia: na pobliskim drzewie siedział straszny potwór z ogromnym, puszystym ogonem, którym wymachiwał groźnie, z oczyma błyszczącymi chciwością i okrucieństwem, z łapami uzbrojonymi w straszliwe pazury. Ach! te pazury zwierz wyciągał właśnie w stronę gniazdeczka. Ptaszyny nasze były młode, żadne z nich nie widziało na własne oczy podobnego potworu, ale słyszały od rodziców i starszych o różnych drapieżnych zwierzętach, co pożerają małe ptaszki i ich jajka, o kotach, łasicach. zawsze w tych opowiadaniach była mowa o futrze pu-

szystem, o paszczy, najeżonej ostremi zębami, o pazurach.

Zwierz, który w tej chwili zakradał się do gniazdka naszych ptasząt, nie był co prawda takim okropnym drapieżnikiem, poznaliście już zapewne na obrazku wiewiórkę. Ale wiewiórki, chociaż nie są krwiożerczej natury, bo najlepiej lubią gryźć orzechy, czasem jednak dla zmiany z przyjemnością zajadają jajka ptasie. Ba! trudno im to brać za złe, wszakże i dzieci, oprócz bułeczki i różnych jarzynek, ze smakiem chrupią pieczone z kurcząt, przepiórek i innych bardzo miłych ptaszeków. A co to jajek wychodzi w kuchni do różnych doskonałych leguminek, ciasteczek i tym podobnych przysmaków. Nikt jednak dlatego dzieci nie nazywa istotami drapieżnymi; chyba wtedy, gdy dla pustej i niegodziwej zabawy męczą żyjące stworzenia, zasługują na tę nazwę.

To też nie gniewajmy się na tę wiewiórkę za to, że się obliżywała łakomie, zaglądnęła do gniazdeczka. Wreszcie przyskoczyła bliżej, machnęła ogonem nad grzbiecikiem biednego samczyka, a ten z przeraźliwym krzykiem zerwał się i krążyć zaczął dokoła gniazdka. Nie przyszło mu nawet na myśl uciekać od niebezpieczeństwa, choć mógł to zrobić z łatwością, wiewiórka nie goniłaby za nim. Zresztą niebezpieczeństwo jemu samemu nie groziło żadne, wiewiórce szło tylko o jaja, ptaszeków nie miała zamiaru dusić, jak kot. Ale samczyk tego wiedzieć nie mógł, dowiódł więc prawdziwie bohaterkiej odwagi, broniąc rodzinę od strasznego napastnika.

Wiewiórka tymczasem machnęła tak samo puszystym ogonem nad samiczką, a ta nieboga także się zerwała i podleciała. Nie udało się jednak wiewiórce pochwycić jajek, oboje rodzice z wraskiem ogłuszającym latali jej przed nosem, ostremi dziobkami zawzięcie kłóli po łebku i gardle, próbowali jej oczy wykluć, ale zręczne zwierzątko odskakiwało zawsze w porę, zasłaniało się łapkami i machało olbrzymim ogonem na wszystkie strony.

Niewiadomo, na czemby się ta walka skończyła, gdyby nie nadleciała niespodzianie sroka, zwabiona hałasem i ciekawa, co się to dzieje. Jejmość sroka nie była co prawda miłosierną, ba! nieraz i sama zakradała się cichaczem do gniazdek mniejszych ptasząt i wypijała ich jajka. W każdym razie ptaszki, chociaż całkiem innego gatunku, bliższe były jej sercu od czworonożnej, ogoniastej wiewiórki. Zatrzepotała skrzydłami z oburzeniem wielkim, jakgdyby była najzacniejszą osobą i żadnej niesprawiedliwości zcierpieć nie mogła.

— A co to jejmość sobie myślisz? — wykrzyknęła, podnosząc groźnie ogon i z dziobem nastawionym zwracając się do wiewiórki — ja nie pozwolę krzywdzić tych pocziwych ptasząt. Mało to orzechów jest w lesie, nie możesz jejmość zresztą owadów łowić, jeżeli ci się przykrzą roślinne pokarmy? Precz mi ztąd natychmiast!

Wiewiórka chciała coś odpowiedzieć, ale sroka nie dała jej przyjść do słowa; gadała i gadała bez przerwy, czasem i bez sensu, bo kto bardzo dużo mówi, nie może zawsze rozsądnych rzeczy nastarczyć; tym razem jednak na dobre użyła swego gadulstwa, odstraszyła wiewiórkę od gniazda. Tymczasem samiczka uspokojona zasiadła znowu na jajkach, a męzulek jej zbliżył się do sroki i za-

czął jej dziękować za pomoc. Lecz trudno z nią było rozmawiać, nasza sroka miała już taki zwyczaj, że sama paplała bez końca, nikomu nie pozwoliła się odezwać.

— Nie dziękujcie moi drodzy — zaskrzeczała z żywością gdy wiewiórka znikła w gęstwinie leśnej — nie ma za co doprawdy, ja tam nie myślałam, ani o was, ani o waszych jajkach, chciałam tylko pokazać tej zarozumiałej wiewiórce, że z ptakami nie tak łatwo wojować, jak jej się zdawało. Szło mi głównie o honor skrzydlatej rzeszy. Nie jestem przecież żadną waszą krewną, ale gdy zwierzęta czworonożne napadają ptaki, każdy, co ma pióra, i dziób i skrzydła, powinien stanąć po stronie pokrzywdzonych; swój swemu niech zawsze pomaga, bo to święty obowiązek. Takie jest moje przekonanie.

A na ten raz przyznać należy, że jejmość sroka dosyć rozsądne miała przekonanie.

Ciocia Jania.

PAW I CHŁOPCZYK.

Powiedz pawiu mój kochany,
Zkąd masz strój swój malowany,
Strój, w którym masz piórka lśniące,
Barw tysiącem się mieniające.
To nie piórka, lecz klejnoty!
Powiedz pawiu, ptaku złoty,
Który z królów tak bogaty
Ubrał ciebie w takie szaty?
Tu paw ogon swój roztoczy,
Ogon świetny swój uroczy,
I odrzecz: „Mój chłopczynol
Choć królowie z skarbów słyną,
Żaden z nich nie dość bogaty,
By mógł dać mi takie szaty.
To Bóg darów nie żałował...
Bóg, co stworzył świat i ciebie,
I o mnie pamiętał w niebie!..

Henryś na polowaniu.

— Czemu tatuś nie chce mnie wziąć na polowanie?

— Bo takie małe jak ty chłopczyki na polowanie nie chodzą.

— Kiedy ja bardzo chciałbym iść z tatusiem, żeby mamusia poprosiła toby mnie tatuś wziął.

Ale mama Henrysia nie słuchała dalej synka. Właśnie do garderoby weszła uboga kobieta, z chorem dzieckiem, i mama poszła dać jej lekarstwo.

Henryś został sam.

— Że też te mamy są takie bojaźliwe — myślał sobie mały ośmioletni zuch — zwyczajnie jak kobiety, bo i mamusia, chociaż ja ją bardzo kocham, jest sobie kobieta i kwita. Tatuś to co innego, tatuś mężczyzna, jak ja, ehe! wiem co zrobię, pójdę prędyutko do lasu tam spotkam się z tatką, a wtedy weźmie mnie już z pewnością, bo kto sam może po lesie chodzić ten i na polowanie iść potrafi.

Więc zabrał pan Henryk starą laskę ojca i dalej w drogę.

Szedł ostro, wielkimi krokami, a chociaż go nikt nie widział robił tak srogą minę, że gdyby tam blisko był zajęczek zląkłby się pewnie.

Doszedł do lasu.

W lesie, jak wiecie, zawsze jest czegoś strasznie. To gdzieś raptem zakracze wrona, to znów sucha gałąź upadnie, to wiatr dziwnie jakoś zaszeleści, dość, że pan Henryk, który przez pole szedł z marsową miną, zwolnił teraz kroku oglądając się czy nie ujrzy gdzie ojca.

Ale w około nic widać nie było, las szumiał, gałęzie spadają a wrony kraczą i kraczą. Bo poco te szkaradne wrony drą się tak przeraźliwie.

Stara niania powiedziałaaby zaraz, że czują coś złego w powietrzu.

Ale co tam uważać na nianię, przecież nawet mama mówi, żeby ję bajkom nie wierzyć.

Nagle... oj strach... będzie źle, zadudniało coś opodał, jakżeby ogromne wojsko pędziło w tę stronę. Słychać było trzask gałęzi, ktoś krzyczał, psy szczekały a tymczasem wojsko pędzi, jeszcze go nie widać ale jest tuż, tuż, Henryś czuje jak ziemia dudni pod jego tentem.

— Boże ratuj bo zginę! — woła i pada na trawę. W tej samej chwili poczuł coś ciężkiego na plecach, straszne wojsko przebiega po nim jak piorun.

Henryś zamknął oczy, bo przecież taki człowiek, po którym całe wojsko przeszło to już musi być umarły, Henryś więc myśli że umarł i leży.

Nagle ktoś bierze go za rękę i podnosi z ziemi.

— W imię Ojca! a panicz co tu robi — woła stary Jan owczarz—te stworzenia zląkły się czegoś, zwyczajnie jak głupie owce i uciekły mi z lasu, ale panicz żeby zaś tak leżeć w piasku!...

Jan pokręcił głową a Henryś wrócił milcząc do domu, i tak się skończyła pierwsza jego myśliwska wyprawa.

NA WAKACYACH.

(Dalszy ciąg).

Z wielkim trudem Michał zdołał się dostać do drabiny, dźwigając takiego dużego chłopca. Na drabinie był już trochę śmielszy, i szybko spuszczał się po szczeblach, aby jaknajprędzej stanąć na ziemi.

Gdy Miła ujrzała Gucia całego i zdrowego, rzekła ze łzami:

— O niedobry chłopcze! ileż ty nam zawsze narobisz zmartwienia i niepokoju.

Już teraz i ciocia połajała go surowo, a gdy wieczorem wuj dowiedział się całej awantury:

— Zdaje mi się, że nie można jeszcze Guciovi dać konia — powiedział — niewart tak spokojnego jak ten, którego dla niego przeznaczyłem. Onby i sam kark skręcił, i koniowi nogi połamał.

Dziadziusiom nie powiedziano nawet o nowój psocie Gucia.

I znów dzień zakończył się nie osobliwie. Od tego czasu upłynął tydzień, nie było jakoś żadnej historii głośniejszej, gospodyni mówiła do Marysi, że przecie się ten zbytnik ustatkował, i zaczęła żyć z Guciem w przyjaźni.

Dnia jednego, dowiedziały się dzieci, że gospoia ma iść do zagrody leśnika, za interesem do jego żony. A śliczna to była ta zagroda, otoczona lasem szumiącym. Miło w niej było i wesoło od gwarnego szczebiotu ptasząt leśnych!

Dzieci odwiedzały już raz leśnika z wujkiem, ale krótko wtedy bawiły, gdy więc dowiedziały się że gospoia idzie do lasu, zaczęły prosić cioci i babuni, i otrzymały pozwolenie towarzyszenia szafarce. Gucio tylko musiał przyrzec solennie, że nic nie zbroi, i będzie słuchał gospoii i Mili.

Radość była ogromna gdy nareszcie wyruszone w drogę, dzieci doczekać się tej chwili nie mogły, a Gucio szeptał Władziowi, że gospoia guzdrze się i guzdrze bez końca.

Szli przez pole, na którym pasiono owce po sprząniętem życie, potem przez łączkę pokrytą zieloną trawą i kwiatkami, a tak było wszystkim wesoło, że Gucio przewrócił trzy koziołki jeden po drugim.

Tego mu nikt nie bronił, a nawet gospoia zachęcała go do powtórzenia zgrabnych, jak je nazywała „figlasików”.

Bibuś szedł, gonił za Guciem, skakał, łapał ptaszki i motylki i tak był zmęczony, że aż wywiesił różowy języczek. Ani się spostrzegli, kiedy stanęli u celu podróży. Zastali żonę leśnika siedzącą na ławeczce przed domem, szła grube płótno i śpiewała półgłosem jakąś pieśń pobożną.

Nie widziała że goście zblizali się do jęj zagrody, spostrzegł to pies leżący przy drzwiach, zerwał się, zaszciekawszy głośno, ale urwał nagle. Poznał widać, że przybyli nie mają złych zamiarów, zamiast więc ujadać bez potrzeby, podbiegł do Bibusia, aby jako grzeczny gospodarz przywitać go, i zrobić znajomość.

Bibuś również znalazł się przyzwoicie, bo choć wypieszczony, o białej delikatnej sierści, wyglądał jak pan z panów przy kudłatym burym Filku, jednakże nie wstydił się z nim przywitać, i nie dał poznać, że czuje zachodzącą różnicę.

Leśniczowa spostrzegłszy gości, podniosła się śpiesznie i podeszła ku nim, witając uprzejmie.

— Musiałam przyjść dziś do was moja Solińska wedle tego lnu — rzekła gospoia — a dzieci też jak się dowiedziały że idę, tak się napały, że zabrałam je z sobą.

— Dobrze pani gospodyni zrobiła, niech się panienki i panicze przejdą trochę — odpowiedziała starszka uśmiechając się przyjaźnie — pewnikiem to siedzi nad książeczką, to taka przechadzka wyjdzie na zdrowie.

— My się teraz nie uczymy wcale — rzekł Gucio — my się tylko bawimy.

— Tak cały dzień? — zapytała Solińska.

— A cały, przecież to wakacye — odpowiedział Gucio.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE (Jaguar).

wie	dość	drój
głó		sło
na	Mą	wie

ZAGADKA.

(Od Poranka majowego dla Pegaza skrzydłatego).

Z trzech się zgłosek składam cały,
 Odgadnąć mię trud nie mały,
 Kiedy do środka *a* mi wsuniecie,
 Miejsce rozkoszne ze mnie mieć będziecie;
 Gdy *e* zamiast *a* tam stanie,
 Sławnym poetą wasz sługa zostanie;
 Jak *o* z *kreską* w środek mój wstawicie
 Wtedy zbiór owadów brzęczących ujrzycie.

Teraz proszę was o milil
 Zgadnijcie,
 I zagadkę od Poranka
 Przyjmijcie.

ROZWIAZANIE DO N-ru 38-go.

Zadania konikowego:

Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz.

Skrzynka do listów.

Chwyliłaś nas bardzo za serce miła **Niezabudko** czeska liścikiem twoim i przesyłką ślicznie zasuszonych kwiatów, które zachowamy w skarbczyku naszych pamiątek. Serdecznie radzi będziemy uściskać w naszej redakcyi jedną z drogich nam czytelniczek staruszek, z którymi łączą nas węzły jakoby rodzinnego uczucia. Więc przyjeżdżaj **Niezabudko** i nie zapominaj o nas. **Gołąbka** niezmiernie wdzięczna za ofiarowaną jęj w ten sposób przyjaźń, starać się będzie zawsze na nią zasługiwać.

Robótka twoja kochane **Rajskie jabłuszko** przyszła na czas, wakacje więc, lubo długie i przyjemne, nie przeszły ci bezpożytecznie. Kto tak ładnie pisze liściki w naukach pewno się nie zaniedbuje i przez zimę posunie się dalej. Korzystaj więc z ostatnich dni lata i jesieni **Jabłuszko** miłe, a mamie powiedz jak wdzięczni jesteśmy za przesłane nam serdeczne wyrazy; są one zachętą do dalszej pracy i zarazem najmilszą dla nas nagrodą.

Rzecz o którą zapytujesz, kochana **Sarneczko z nad Sanu**, musi jeszcze trochę poczekać, a to z przyczyny że przyszła jak ci wiadomo w czasie rozpoczęcia druku artykułu w tym samym przedmiocie. Choć więc przedmiot ten jest obrobiony w inny sposób, musi przecież upłynąć pewien przeciąg czasu, zanim znów o nim może być mowa, i oto cała przyczyna opóźnienia.

Bądź pewną, kochana **Józyczko S.** że spełnimy pobożne ży-

czenie twoje oddając przyslaną pracę ubogiemu dziecku. Oby Bóg cię pocieszył zdrowiem tyle dla ciebie drogiem, niezapominaj nam o tem przesłać dalszych wiadomości. Wielka to dla nas radość, że otrzymana nagroda jest ci tak miłą. Liścik drukujemy, tamten dojsć nas nie musiał, skoro nie był umieszczony.

Witamy cię z prawdziwą radością, w gronie naszych korespondentek, miła **Ogrodniczko** bo piszesz tak ładnie, że odbierać podobne liściki od dziewięcioletniej panienki wielką jest dla nas przyjemnością. Nie wątpimy też, że i ogródek twój musi być urządzo-ny aż miło spojrzeć, a pończoszki będą zrobione ślicznie. **Gołąbka** ścisła cię wzajemnie, my zaś pozdrawiamy **Kłosa** i **Złote pachole**. Czemu nie pisują do **Wieczorów?** do nas lub do swoich kolegów?

Śliczny masz pseudonym **Słowiczku z nad Dźwiny**. Z daleka przysyłaś nam piosenkę bardzo mile witaną przez nas. Liścik w swoim czasie wydrukujemy.

Czapla z nad Pohanki odbierze żądany numer, cena zwykła kop 10. Co się tyczy liściku, weź **Czaplo** do siebie odpowiedź bratu słowikowi udzieloną.

Świtezianko Mickiewiczza, w robocie cenimy przedewszystkiem dobrą wolę przyjsćia w pomoc biednym dzieciom, a z czasem nabierzesz wprawy przy mateczce, która sama szyje swojej dzieweczce.

Cóż to za nieszczęście z ręką miał **Straszny Mróz?** cieszymy się szczerze, że już złe ustało.

Że też ten fartuszek nie utopił się w **Bajurce z Ludwińskiego podwórka**, to cud prawdziwy! Za dodatkową posyłkę dziękujemy.

Jedlinka tak dawno się nie odzywała, dlaczego? bardzo się cieszymy, że dała wreszcie znak życia i to świadectwem o pracowitości towarzyszkil

Droga Czeska **Niezabudko**, **Śnieżycy**, **Jedlinko**, **Mazurko z nad Narwi**, **Lewkonijko**, **Różyeczko** biała z **Wołynia** i **Jesieni!** Ach! jaka to szkoda, że tylko w kilku słowach mogę wam wszystkim podziękować za tak serdeczne liściki! Miłą **Niezabudkę**, **Śnieżycę** i **Jedlinkę** odsyłam do zeszlórocznego 52 numeru „W. R.” Tam w liście do **Szarży** znajdziecie szczegóły o mnie; dodaję tylko że zaczęłam 17 rok. Donieście mi moje drogie jak wam na imię i gdzie mieszkacie. **Mazureczko** miła co ci się w naszym **Pisemku** najwięcej podoba? **Lewkonijko** jak ci się udały egzamina? **Różyeczko**, kwiaty lubię niezmiernie, róże szczególnie, co teraz porabiasz? **Jesieni** luba, donieś mi co więcej o sobie, ucałuj odemnie **Radziwiankę**. Przesyłam wam wszystkim ucałowania serdeczne, które niech lecą z głębi **Polesia** tam... tam daleko do was, **Czeka** odpowiedzi **Stokrotka z nad Stochodu**.

Drogi moje: biała **Chmurko**, **Wisienko z nad Sobu** i **Baniuto!** Nie wyobrażasz sobie, **Chmureczko**, jaką przyjemność mi sprawił twój liścik; żalowałam w pierwszej chwili, że nie mogłam cię uściskać. Nie wiem kiedy cię zobaczę, **Wisienko**. Smutno spędziłaś wakacje, lecz i ja nie bardzo wesoło. **Baniuto**, gdzie się teraz znajdujesz? Wiem że na imię ci **Terenia** i masz lat 13. Tysiące pocałunków dla was przesyła w końcu w różne strony **Biała Ostróżka**.

Kochany **Wilku z stepów Chersońskich!** Zapewne gniewasz się na mnie, że ci tak długo nie odpisałem, ale cóż kiedy mnie ręka bolała. Teraz gdy już mogę pisać, zwracam się do twoich stepów, żeby ci powiedzieć, że twój list bardzo mnie ucieszył. Nazwisko moje zaczyna się od litery **St.**, mieszkam w gub. **Lubelsk**. i mam trzy siostry: **Jedlinkę**, **Świteziankę Mickiewiczza** i **Bajurkę z Ludwińskiego podwórka**. Na znak, że się nie gniewasz na mnie kochany **Wilku**, proszę bardzo odpisz na mój list. Całuję cię serdecznie twój **Straszny Mróz**.

Kochana **Czaplo z nad Pohanki!** Odgadłam kto jesteś i bardzo ci za liścik dziękuję! Chciałabym żeby twoja siostrzyczka **Srocza**, niedługo do mnie napisała! Donieś mi czy macie już nauczycielkę i czy ją kochacie równie jak pannę **K.** którą ja bardzo pokochałem. Lubię się bardzo uczyć, lubo mam ztąd przykrości, bo moja **mamusia** wyjeżdża, a ja dla lekcji muszę w domu zostać! Całuję cię wraz z siostrzyczkami i **Stasiem** i proszę pisz do **Czarnęj Koteczki**.